**To lubię**

Spójrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,

W prawo łóz gęsty zarostek,

W lewo się piękna dolina podaje,

Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,

Obok dzwonnicy zrąb zgniły,

A za dzwonnicą chrośniak malinowy,

A w tym chrośniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,

Że o północnej godzinie

Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,

Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,

Cerkiew się z trzaskiem odmyka,

W pustej zrąbnicy dzwonią same dzwony,

W chrustach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,

Czasem grom trzaska po gromie,

Same się z mogił ruszają pokłady

I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,

To znowu głowa bez ciała;

Roztwiera gębę i wytrzyszcza oczy,

W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży; pragniesz go odegnać,

Aż orlim skrzydłem wilk macha,

Dość „Zgiń, przepadnij” wyrzec i przeżegnać,

Wilk zniknie wrzeszcząc: „cha cha cha”.

Każdy podróżny oglądał te zgrozy

I każdy musiał kląć drogę;

Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,

Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary

Zaklinał, nieraz przestrzegał,

Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,

Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,

Na moście z końmi wóz staje,

Próżno woźnica przynagla do biegu,

„Hej!” – krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy,

Dyszel przy samej pękł szrubie;

Zostać na polu samemu i w nocy,

„To lubię – rzekłem – to lubię!"

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica

Wypływa z bliskich wód toni;

Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,

Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,

Włos dębem stanął na głowie;

Krzyknę: „Niech będzie Chrystus pochwalony!”

„Na wieki wieków” – odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,

Coś mię zachował od męki,

Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,

I pokój tobie, i dzięki.

Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy,

Wkrótce się niebem pochlubię;

Boś ty czyscowej zbawił mię katuszy

Tym jednym słówkiem: To lubię.

Dopóki gwiazdy zejdą i dopóki

We wsi kur pierwszy zapieje,

Opowiem tobie, a ty dla nauki

Opowiedz innym me dzieje.

Onego czasu żyłam ja na świecie,

Marylą zwana przed laty;

Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,

Możny, poczciwy, bogaty.

Za życia pragnął sprawić mi wesele,

A żem dostatnia i młoda,

Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,

Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie,

I to mi było do smaku,

Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,

Tłumem gardziłam bez braku.

Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,

Młody, cnotliwy, nieśmiały;

Obce dla niego wyrazy miłośne,

Choć czuł miłośne zapały.

Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika

Próżno i dzień, i noc płacze;

W boleściach jego dla mnie radość dzika,

Śmiech obudzały rozpacze.

‹‹Ja pójdę!›› – mówił ze łzami. ‹‹Idź sobie!››

Poszedł i umarł z miłości;

Tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie

Złożone jego są kości.

Odtąd mi życie stało się nielube,

Późne uczułam wyrzuty;

Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,

Ani czas został pokuty.

 Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,

Wzmaga się hałas, szum, świsty,

Przyleciał Józio w straszliwej postawie,

Jak potępieniec ognisty.

Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębów,

W czyscowe rzucił potoki,

Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów

Takie słyszałam wyroki:

‹‹Wiedziałaś, że się spodobało Panu

Z męża ród tworzyć niewieści,

Na osłodzenie mężom złego stanu,

Na rozkosz, nie na boleści.

Ty jakbyś w piersiach miała serce z głazu,

Ani cię jęki ubodły.

Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu

Przez łzy, cierpienia i modły.

Za taką srogość, długie, długie lata

Dręcz się w czyscowej zagubie,

Póki mąż jaki z tamecznego świata

Nie powie na cię choć: lubię.

Prosił i Józio niegdyś o to słowo,

Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;

Prośże ty teraz; nie łzą, nie namową,

Ale przez strachy i dziwy››.

Rzekł, mnie natychmiast porwały złe duchy.

Odtąd już setny rok minie,

W dzień męczą, a noc zdejmują łańcuchy,

Rzucam ogniste głębinie;

I w cerkwi albo na Józia mogile,

Niebu i ziemi obrzydła,

Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,

Różne udając straszydła.

Idących w błota zawiodę lub w gaje,

Jadącym konia uskubię;

A każdy naklnie, nafuka, nałaje,

Tyś pierwszy wyrzekł: to lubię.

Za to ci spadnie wyroków zasłona,

Przyszłość spod ciemnych wskażę chmur:

Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona...”

Wtem na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,

Mieni się w parę cieniuchną,

Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,

Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące,

Siadam, powoli strach mija;

Proszę za dusze w czyscu bolejące

Zmówić trzy Zdrowaś Maryja.